

za mną i pokazując palcem, wykrzykiwały imię mojej matki – Teresa, przeinaczając je w dziecięcy sposób na Deresa. Dla mnie zagadka tkwiła w imieniu matki. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie wykrzykują na przykład Jasiusiusiu, bo na imię mam Janek.

Z jakiegoś powodu przerwał opowieść, lecz po chwili do niej wrócił. Mówił:

– Nie pamiętam, ile miałem lat, gdy podśledzałem rozmowę starszych chłopców, którzy szepotali coś o sąsiadkach odwiedzanych nocami przez miejscowego uwodziciela. Nasmiewali się z tych kobiet i uznali, że chyba co drugie dziecko we wsi, to jego dziecko.

Początek opowiadania przyjąłem z nabożnym szacunkiem, ale gdy usłyszałem o niesłubnych dzieciach, wywęszyłem podstęp. Uznałem, że wysłuchuję ubranej w powagę wiejskiej anegdoki, a takie numery były w stylu Deresa, dlatego, chcąc się włączyć w jej żartobliwy nurt, plasnąłem dłonią w udo i niemal krzyknąłem:

– No nie! Niech zgadnę! A ksiądz wymyślił, że jest jego synem. Tak?

Od tego momentu rozmowa nas ożywiła, może dlatego doskonale ją pamiętam. Na moje pytanie dał prostą odpowiedź: – Gorzej, ja mu to powiedziałem.

– Jakie gorzej? Przecież ksiądz był dzieckiem. Ile ksiądz miał lat? – dopytywałem.

– Jak wymyśliłem, sześć, a jak powiedziałem, chyba piętnaście – szepnęła niepewnym głosem. Słuchałem i nie wierzyłem. Byłem bliżej przekonania, że to zabawna bujda opowiadana dla zabicia czasu. Skręcałem się ze śmiechu, a po chwili śmialiśmy się obaj. Zapomnieliśmy o nocy, lesie i połowie ryb. W końcu Deres powiedział: – Ryby może i są głuche, ale podsłuchiwać lubią. Sprawdź, czy jakaś nie kręci się w pobliżu.

Nagrobny lampionik świecił wystarczająco jasno, by przekonać się, że ryby wybrały inne żerowisko, dlatego wróciliśmy do rozmowy. Po chwili przerwy Deres dorzucił: – Wiesz, on nie zaprzeczył, to dla mnie znaczyło, że z matką spał, a skoro spał, mogłem być jego synem. No i wreszcie znalazłem wytłumaczenie przezywania mnie imieniem matki. Oni śmiali się z niej, ja byłem tylko biegającym po wsi dowodem jej godnego obśmiania postępków.

Po tym wyjaśnieniu wesołość wyparowała. Zrozumiałem, że wysłuchuję zaskakującej, chorej, ale prawdziwej historii. Tylko jak doszło do zmiany nazwiska? Do tego trzeba być pełnoletnim, jednak nie miałem już odwagi pytać o cokolwiek.

Gdzieś nad nami niebo odrobinę pojaśniało, a powietrze stało się chłodniejsze niż wieczorem. Siedząc nad rzeką, trochę zmarzliśmy i zgłodzieli. Przyszedł czas na przekąskę. Sycące kanapki i gorąca kawa z termosu wprowadziły małe zamieszanie, ale były na czasie. Jedliśmy z apetytem. Między jedną a drugą kanapką Deres przerwał na moment posiłek.

– Dodam ci tylko – powiedział – że przez długie lata uważałem matkę za puszczalską, a ojca za przygodnie wplątanego w nasze życie

dziwnego staruszka. Dziś wiem, że moim ojcem jest ten dziwny staruszek, bo jestem jego kopia, z tą różnicą, że mam zdecydowanie więcej zdrowia.

– A skąd ten Deres? – zapytałem. – Męska forma od Deresy – wytłumaczył jak dziecku.

– Widzisz, Stefan – dodał po chwili – jestem żywym przykładem na to, co głupota może zrobić z człowiekiem. U mnie uraz był zbyt duży, musiałem się jakoś wyleczyć, odreagować, pokazać ludziom, że ta ich Deresa to nic, że może być dumnym wyróżnikiem, nawet nazwiskiem księdza.

Gdy zjadaliśmy ostatnią kanapkę, drgnął jeden splawik, a później, jakby w nagrodę, wzięło jeszcze kilka sporych ryb. Niebo zaczęło przywdziewać coraz jaśniejsze sukienki, a jak pojawił się blady róz, wiedzieliśmy, że za moment rozsuta, lekka mgła zamieni się w rosę, bo idą kolejne pogodne dni.

W namiocie przed snem porządkowałem myśli. Miniona noc przyniosła kilka ciekawych informacji, ale nie pamiętam, co przekonało mnie, że obaj mamy problemy z życiem. Każdy swoje.

Moja codzienność była szara i samotna. Tomek – stary plotkarz, wpadając czasami, podrzucał informacje o Leszku, który w międzyczasie uruchomił kilka punktów stolarskich. Pewnego dnia przypadek zdarzył, że spotkałem Leszka. Natychmiast zaprosił mnie do siebie, do domu. Wybrałem się do niego późnym sobotnim popołudniem, bo rozmowa z niedzielą w perspektywie toczy się łatwiej. Na ulicy dopiero zapadał zmrok, ale w budynku, w sieni było już ciemno. Rozglądając się za kontaktem, zauważyłem niedomknięte drzwi mieszkania Leszków, za którymi toczyła się prowadzona podniesionym głosem rozmowa. Usłyszałem głos Zuzi. Oświadczyła: – Nie będę go przyjmować w moim domu! On nie ma tu prawa wstępu! Niech idzie do swoich kumpli, do Tomków i innych ubeków.

Na takie dictum zdenerwowany Leszek zapytał, kto dał jej prawo tak o mnie myśleć, tak mnie oceniać? I dodał: – Na czym opierasz swoje przekonanie? Przecież ty go nie znasz. To, że on zna Tomka, nie znaczy, że jest taki sam. Znają się od lat, chodzili do tej samej klasy. Ja częściej spotykam się z Tomkiem i co z tego?

– Klasa nie klasa, a ja ci powtarzam, nie chcę go tu widzieć! – upierała się.

Takie stanowisko doczekało się ostrej reakcji. – Zuziu, nie przeciągaj struny. Stefan to mój brat! Czy to ci się podoba, czy nie, będzie bywał w tym domu.

– Właśnie, że nie! – krzyknęła zaciętrzewiona.

W tym momencie Leszek zamknął rozmowę, powiedział: – Przeholowałaś! Wciąż mówisz o twoim domu, tymczasem ty w tym domu do żadnego dyktatu prawa nie masz. Podobno niezły z ciebie prawnik, ale zapomniałas o intercyzie. Mieszkanie jest moje i chociaż po to, żebym mógł przyjmować w nim

rodzinę, postąpiłem słusznie. Miałas do mnie o intercyzę pretensję, chyba nie znalazłaś siebie. Jeżeli ci moje stanowisko nie odpowiada, to wyjdź, bo ja zdania nie zmienię.

Po tym, co usłyszałem, postanowiłem wrócić do domu, lecz w drodze do drzwi wyjściowych dobiegł mnie głosik podobny do piśnięcia przerażonej myszy. W kąciaku stało skulone i drżące dziecko. Właśnie wtedy na klatkę wybiegła Zuzia. W rozdrażnieniu i złości nie zauważyła niczego, udała się schodami na górę, do sąsiadki, by u niej rozładować swój gniew.

Podniosłem rozdygotaną Asię – ich córkę i przytuliłem. Wszedłem do mieszkania, usiadłem na krześle, trzymając ją na kolanach. Długo milczałem. Myślałem o Zuzi, o dziwacznym pomysle z intercyzą, który mnie nigdy by nie wpadł do głowy, i o drżącym, zapłakanym dziecku. Miałem świadomość, że jestem przyczyną łez. Odpowiedź na pytanie, co powinienem zrobić, nie była prosta. W rezultacie postanowiłem zostać u Leszka, bo czułem, że jestem mu do czegoś potrzebny. Może, mimo posiadania rodziny, do zapewnienia pustki?

Czas płynął. Po latach, pojechałem do Krakowa załatwić pewną sprawę i traf chciał, że znalazłem się w pobliżu cmentarza na Salwatorze. Byłem na nim dwukrotnie. Pierwszy raz tuż po ślubie. Gdy nadeszła wiosna, a wraz z nią kilka słonecznych dni, Ewa zabrała mnie na niecodzienną wycieczkę. Twierdziła, że z cmentarnego wzgórza w pogodne dni można zobaczyć Tatry. Staliśmy przy grobie jej dziadka, czekając wytrwale, aż wiatr przewieje błąkające się po niebie mgiełki. Pamiętam ciszę, skrzeczenie wron i zdumienie, bo mówiła prawdę. Wyłoniło się górskie pasmo. Od śmierci Ewy, od jej pogrzebu, gdy spoczęła obok dziadka, nigdy tam nie zajrzałem.

Moją sprawę załatwiłem szybko, a że był piękny, wiosenny dzień, wpadłem na pomysł, żeby wstąpić na cmentarz i sprawdzić, czy tym razem też zobaczyłbym Tatry. Chcąc skrócić drogę, zamierzałem skręcić w boczną alejkę, lecz zawróciłem, bo przypomniała mi się mała Asia i pogrzeb Kostka. Podeszła do mnie tak cichutko, że gdyby nie drobna rączka w mojej, może bym jej nawet nie zauważył. Milcząc, uparcie ciągnęła mnie, aż stanęliśmy przed dziwnym grobem. Był to ogromny, bezkształtny głaz z jednym jedynym napisem wrytym bardzo niewprawną ręką: „Zgasłemu szczęściu”. Asia pozwoliła mi przyglądać się przez chwilę niezwykłemu pomnikowi, a następnie zapytała, mówiąc:

– Ja umiem czytać, wiem, co tam jest napisane, ale powiedz mi, stryжку, czy ty cioci Ewie też położyłeś taki kamień? Bo przecież ty też ją bardzo kochałeś, prawda?

Przez to wspomnienie zawróciłem i kupiłem bukiet kwiatów. Czasami myślę, że może właśnie dlatego znów zobaczyłem Tatry. Po tym dniu wróciłem do Gdańska i o sprawie zapomniałem.

cdn.